

- Gdy usiłowałam poprzez Pani męża skontaktować się z Panią, powiedział mi: „Proszę próbować, ale uprzedzam - Jadzia będzie Pani uciekała; nie lubi wywiadów”. Dziękuję, że zgodziła się Pani na rozmowę.

- Z rzadka, ale spotykam się z dziennikarzami. Staram się jednak robić to jak najrzadziej.

- I to w czasach, kiedy aktorzy nieustannie walczą o swoją obecność w mediach?

- Dobrze, a może nawet ciekawiej jest być wyjątkiem, który potwierdza regułę.

- Na pierwszym roku warszawskiej PWST dostała Pani od Janusza Morgensterna propozycję roli w „Kolombach”. Odmówiła Pani, choć ta propozycja dawała ogromną szansę mocnego debiutu aktorskiego.

- Wówczas w szkole studentów obowiązywał kategoryczny zakaz występowania w filmie i teatrze. Miałam dwie możliwości: przyjąć rolę i wziąć w szkole urlop dziekański albo odmówić i pozostać na studiach. Wybrałam to drugie.

- Nie żałuje Pani dzisiaj tej decyzji?

- Nie, bo dzięki niej miałam szczęście spotkać się jeszcze z tym pokoleniem artystów, którzy za chwilę odeszli. Opiekunem naszego roku był Marian Wyrzykowski, który w połowie moich studiów zmarł. Z kolei na IV roku spotkałam się z Jerzym Jarockim, któremu zawdzięczam wszystko to, co wiem o moim zawodzie.

- Po ukończeniu PWST wystąpiła Pani z wielkim sukcesem w roli Magdy w filmie „Trzeba zabić tę miłość”. Janusza Morgensterna. Ten sukces dawał Pani możliwości zrobienia kariery, a Pani - znów na przekór losowi - wybrała Puławę i teatr eksperymentalny przy Zakładach Azotowych. Nie dawała Pani losowi szansy.

- Młodości przypisany jest bunt. Nie podobał nam się tradycyjny teatr. Szukaliśmy własnego języka i uważaliśmy, że to właśnie my, młodzi, pokażemy, co to jest prawdziwy teatr, bo ten zastany wydawał nam się skostniały. Nie interesowały nas wtedy doraźne splendory w Warszawie, tylko robienie prawdziwej sztuki.

- Zdaje się, że puławska publiczność nie tego oczekiwała od swojego teatru?

- Oczywiście, że nie. Chcieli wodewilów i operetki, a nie naszą „grotowszczyznę”. My jednak dzielnie trwaliśmy przy swoim, grając czasami dla jednego widza i wierząc, że robimy najważniejsze rzeczy pod słońcem. To był pouczający czas.

- I po tej pięknej przygodzie, zakończonej likwidacją teatru przez ówczesne władze, trafiła Pani do „Dramatycznego” w Warszawie, który przeżywał okres rozkwitu za dyrekcji Gustawa Holoubka.

- Tak naprawdę to marzyłam o Starym Teatrze, tym bardziej, że Jerzy Jarocki i Stanisław Radwan zaproponowali mi przyjęcie do zespołu. Ówczesny dyrektor „Starego”, Jan Paweł Gawlik, potwierdził propozycję, ale zaznaczył: „Zatrudnię Panią bez męża. Mieszkania dla Pani też nie mam”. Podziękowałam i wróciłam do Warszawy. Do męża i rocznego dziecka. Ominęła mnie praca z Konradem Swinarskim, o której marzyłam. Do dziś odczuwam to jako niepowetowaną stratę.

- Teatr Dramatyczny chyba nieco zrekompensował Pani ten żal, gdyż tam właśnie wystąpiła Pani w największych rolach, choćby wspomnieć Medę, Elektry, Judytę w „Księdzu Marku”.

- Dla mnie to wszystko było mało. Żyłam w ciągłym nie-

dosycie. Wydawało mi się, że zapału i sił twórczych mam na dziesięć razy więcej, ale wtedy też zaczęłam uczyć się pokory, niezbędnej w tym zawodzie. Zaczęłam rozumieć, że nie tylko ja się liczę, że są też inni, którzy muszą mieć szansę. Takiej lekcji udzielono mi w „Dramatycznym”, gdzie byli świetni reżyserzy i znakomity zespół.

- Nie, nie! Jestem doceniana, sporo gram w teatrze, w filmach też można mnie oglądać, ale że w tym zawodzie trzeba tupać, krzycheć i robić szum wokół siebie - to fakt. To jednak nie dla mnie. Mnie interesuje „kuchnia”, czyli praca. Taki mam temperament, choć rozumiem osoby, które uwielbiają błysk fleszy.

- Stała Pani w świetle jupiterów, odbierając Złotą Pa-

spojrzenia”. Mnie to nie interesowało. Może to był błąd, że ich nie przyjmowałam, ale wówczas jeszcze nie wiedziałam, iż konsekwencją tego będzie dwunastoletnie „lawkowanie”. W końcu zagrałam w kilku tam filmach, ale szczególnie ciepło wspominałam dopiero spotkanie z Andrzejem Wajdą, od którego dostałam epizod w „Pierścieniu z orłem w koronie”. Jest kilku ta-

- I dlatego niezwykle ciekawa. Film łąda moment wchodzi na ekrany. Mimo że reżyserka jest debiutantką, dobrze się dogadywałyśmy.

- Podobno jest Pani w pracy trudna, niezależna i bezkompromisowa?

- Tak mówią „na mieście”. Bawi mnie to, bo uważam się za osobę niezwykle spolegliwą. Ale widocznie to jest tylko moje zdanie. A że bezkompromisowa? No cóż, nie wyrażam letnich opinii. Jestem ostra w sądach.

- A Pani udział w telewizyjnym serialu „Miasteczko” nie jest kompromisem?

- Owszem, jest. Nasza praca w teatrze jest kiepsko opłacana, a regularne honoraria z serialu w istotny sposób podbudowują mój budżet rodzinny. Dzięki niemu może trzećcie dziecko może chodzić do prywatnej szkoły i być dobrze kształcone. Dwadzieścia lat temu być może nie przyjąłabym takiej propozycji, ale wtedy za honorarium w filmie mogłam sobie kupić jedynie komodę, która stoi do dziś. Życie zweryfikowało moją postawę.

- Może to jest dowód na to, że czas zabrać się za swoją karierę i stawać do castingów?

- Raz w życiu, dowiedziawszy się o realizacji filmu, zadzwoniłam do reżysera, oferując swoją osobę. Usłyszałam: „Nie, dziękuję”. To był pierwszy i ostatni raz. Takiego upokorzenia nie chcę więcej przeżyć.

- Czy dobry agent nie jest wyjściem z takiej sytuacji?

- W Polsce nie ma takich agentów. Sprawdziałam agencje i wiem, że pracują w nich ludzie niekompetentni. Biorą niemałe pieniądze za swoje usługi i na tym kończy się ich rola.

- Czyli jest Pani aktorką, która czeka na propozycje?

- Teraz już nie czekam. Los po raz drugi związał mnie z Teatrem Dramatycznym, gdzie jestem od 1994 roku. Sporo gram, także role komediowe, które uwielbiam.

- Zagrała Pani nawet dyrektorem w „Szkarłatnej wyspie” Bułhakowa - rolę, w której występuje Pani również w życiu, jako żona Piotra Cieślaka, dyrektora Teatru Dramatycznego.

- O roli w sztuce od dawna marzyłam, natomiast w życiu nie jest ona chlebem, który chciałabym jeść. Dopiero teraz się jej uczę.

- Nie czuje Pani żalu do losu, ludzi, że nie zrobiła Pani wielkiej kariery?

- Nie, jestem bardzo zadowolona. Przyjmuję życie takim, jakie ono jest. Mój trzeci syn, którego „fundnęłam” sobie w 40. roku życia, ustawił mi właściwą hierarchię wartości i uporządkował cały świat. Dzięki rodzinie nie muszę nad słuchać, czy dzwoni telefon. Uważam, że wykorzystałam wszystkie szanse na tyle, na ile było to możliwe. I nigdy niczego nie robiłam wbrew sobie. A jak mam dość Warszawy, to jadę na wieś, nad Pilicę, gdzie mamy chałupę. Tam się chowam przed zgiełkiem z dziećmi, kotami i psami. Tnę drzewo, noszę węgiel, koszę trawę i sadzę rośliny. Słucham tylko radia, bo nie mam tam telewizora. I wtedy nie tęsknię za granicą. Nie jestem aktorką, która poświęcałaby życie dla teatru czy filmu. Nie warto.

- Może dlatego, że Pani życie zawodowe tak się potoczyło?

- Nie, to ja dokonałam takiego wyboru. I jestem z tego powodu szczęśliwa. Uważam, że los jest dla mnie bardzo łaskawy.

Rozmawiała
JOLANTA CIOSEK

Już nie czeka

- Wciąż wszyscy chcą się podlizywać młodym widzom, a nikomu nie zależy na tym, żeby porozmawiać poprzez film z widzem dojrzałym. Ekspansja młodości spycha na margines inteligenta w średnim wieku
- mówi JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK



- Który władze bezceremonialnie rozbiły, odwołując z dyrekcji Gustawa Holoubka.

- I w ten sposób zniszczono teatr.

- Wówczas zaczęła się Pani wędrówka po warszawskich teatrach: Polskim, Nowym, Powszechnym. Dość nieszczęśliwa chyba?

- Właściwie to była włóczęga. Nie było na mnie zapotrzebowania. U Dejzka w „Polskim” siedziałam w „rekwizytorni”, jak to się mówi w naszym żargonie.

- A Hanuszkiewicz dał Pani wypowiedzenie. W środowisku wtedy zawrzało.

- W Dzień Kobiet wyjechałam ze skrzynki list, w którym przeczytałam: „Nie widzę dla pani miejsca w moim zespole - z koleżeńskim pozdrowieniem Adam Hanuszkiewicz”. Poczulałam się jak najgorsze pomiotło. Nie fakt roztania, ale jego forma była bolesna. Pana Hanuszkiewicza zawsze uważałam za dżentelmena w każdym calu. Tu po raz kolejny „prysły zmysły”.

- Z Teatru Powszechnego odeszła już Pani na własne życzenie. A przecież obok Pani były znakomite koleżanki: Joanna Żółkowska, Ewa Dałkowska, Krystyna Janda.

- No właśnie. Było za dużo bab. W „Powszechnym” scenka jest mała, więc się nie mieściłyśmy.

- Przecież to nie było Pani zmartwienie.

- Wiedziałam, że czeka mnie kolejna „rekwizytornia”. Za dużo było tego czekania.

- A może to Pani nie umie walczyć o swoje?

- Nie umiem, to prawda. Nie to mnie interesuje w moim zawodzie.

- Wielu kolegów podaje Panią jako przykład aktorki nie docenionej przez reżyserów.

mę w Cannes za rolę w filmie „Inne spojrzenie”.

- I przeżyłam tam niesamowite chwile. Wyjechałam z ekipą węgierską, bo film reżyserował Węgier. Dostałam plaketkę z jakimś nazwiskiem węgierskim, bo nikt nie pomyślał, żeby przygotować z moim. Oczywiście w wywiadach mówię, kim jestem, z jakiego kraju, że stan wojenny, że tylko gram w węgierskim filmie, dziennikarze i tak napisali, że nagrodę dostała węgierska aktorka. W Cannes po raz pierwszy wpadłam w ten cały cyrk oszalałego świata, gdzie pozór goni pozór, a tak naprawdę liczą się tylko pieniądze. Dobrze, że ten cały paranoiczny blichtr poznałam „u źródle”.

- Czy, trzymając w ręce Złotą Palmę, liczyła Pani na to, że świat stanął przed Panią otworem?

- Tak, liczyłam. Stało się inaczej, głównie z powodu stanu wojennego. Nie mogłam zostać na Zachodzie i robić tzw. kariery w filmie, bo w Polsce miałam rodzinę.

- Ale w kraju telefon też przestał dzwonić.

- Nawet nie przestał, bo nigdy nie zaczął. Po Cannes, jak się później okazało, wysyłano z zagranicy propozycje ról, ale nie bezpośrednio do mnie, tylko do „Filmu Polskiego”. I tam grzęzły, a dokładniej: były wyrzucane przez urzędników do kosza. Przecież wówczas to oni decydowali o tym, kto wyjedzie na Zachód, a kto nie. Widocznie uznano, że ta Złota Palma ma siedzieć i czekać w kolejce po ocet. A w Polsce był stan wojenny i czas aktorskiego bojkotu.

- Bardzo długo czekała Pani na propozycję w filmie.

- Jeszcze na Węgrzech dostałam kilka ofert, ale powielających schemat roli z „Innego

kich reżyserów filmowych, na dźwięk nazwisk których omasta sływa mi na serce. Do nich należy właśnie Wajda, Kutz, Morgenstern. Ileż Wajda przystępował do realizacji filmu, a ja nie otrzymywałam propozycji, to smutno mi było. Ale naprawdę nie mogę narzekać. Zagrałam w wielu filmach, spektaklach Teatru Telewizji, a gdy nie gram, mam inne, fantastyczne zajęcia.

- Haftowanie i malowanie?

- Nie, to już przeszłość; już nie te oczy.

- Pani mąż powiedział kiedyś, że w latach 70. stworzyła Pani w polskim kinie portret kobiety przegranej, bo wiernej własnym poglądom.

- Zapewne tak było, choć sądzę, że raczej przypadek o tym zdecydował, iż tak właśnie mnie obsadzano. Zawsze interesowało mnie kino psychologiczne, autorskie, którego teraz jest coraz mniej. Wciąż wszyscy chcą się podlizywać młodym widzom, a nikomu nie zależy na tym, żeby porozmawiać poprzez film z widzem dojrzałym. Ekspansja młodości spycha na margines inteligenta w średnim wieku. Żałuję tego. Ja sama, jako widz, nie lubię już chodzić do kina, bo współczesne filmy nie są do mnie adresowane, a tych wszystkich pseudoamerykańskich polskich produkcji mam po dziurki w nosie. Zawsze natomiast czekam na film Barańskiego, Kutza czy Wajdy.

- Ostatnio zagrała Pani w „Szczęśliwym człowieku”, debiucie reżyserskim Małgorzaty Szumowskiej.

- To dziwna rola, rola kobiety, która podporządkowała sobie jedyne go syna, z którym musi się rozstać, bo dowiaduje się o własnej, śmiertelnej chorobie.

- Znowu dramatyczna i psychologicznie złożona?